

6

Cena numeru 8 zł

ROZCI

BIJĄCO TYDZIEŃ

Rok I

8 Wrzesień 1946

Nr 5

Literatura polska w obrazach:

W związku z wysiedleniem elementów aspołecznych z luksusowych mieszkań:



Rys. H. TOMASZEWSKI

„LUDZIE BEZDOMNI”

Obywatel Rógza ma głos

Ludwik Jerzy Kern



Wiedziałem, że lokatorzy w naszej kamienicy — naród, nie można powiedzieć, spokojny, grzeczny i na miejscu, ale że takie złote serca — no, no... Samym miodem ostatnio człowieka smarują. Taki na przykład pan Majonez. Niby, jak to się mówi, zimny paszecz, czarodziej, co to jak podniesie kratę na wystawie, to wszystkie ceny od razu do góry lecą, a w tymczasem przychodzi do mnie, do suteryny i przynosi różne dobre rzeczy:

— To powiada — dla pana, to — dla pani Rógzowej, to — dla dzieci.

— Przepraszam bardzo — zapytuję, a w oczach łza mi się ze wzruszenia kręci — ale doprawdy pan taki dobry...

Na to pan Majonez macha lekceważąco ręką.

— Detal, panie Rógza, niema o czym gadać. Synowie jednej ojczyzny jesteśmy i wogóle musimy sobie pomagać: ja panu, pan mnie.

— No, dobrze — odpowiadam rozrzuwiony — lecz jakże — ja panu?

— Drobnostka — rzecze z naciskiem pan Majonez — Proszę tylko pamiętać, że jakby się kto pytał, to te osoby, które u siebie zameldowałem, faktycznie zamieszkuje, tylko czasowo wyjechały. Sam pan rozumie: pięć pokoi, głód mieszkaniowy, złość ludzka...

Potem przyszła pani Kotkowska. Dama jak się patrzy.

— Tu — zaznacza — dla Rógzi tysiąc złotych i proszę sprowadzić dorożkę.

— Kawałek za sprowadzenie dorożki? — wybelkotałem zdziwiony jej dobrocią.

— Nie — odparła pani Kotkowska. — To za to, aby Rógza pilnował mojego mieszkania. Bo ja wyjeżdżam.

— A klucze?

— Zabieram ze sobą. Niech zresztą Rógza zabije delikatnie gwoździemi drzwi wejściowe. I, broń Boże, nikogo nie wpuszczaj!

Potem przybiegł pan Jersak. Wesół facet. Takżesamo b. do bry.

— Panie dozorca — powiada. — Chodź pan do mnie: napijemy się!

Przyjemnie było u pana Jersaka. Ufetował mnie jak króla. Nic, tylko: pij, bracie, pij. Kiedyśmy dobrze robaka podleli, pan Jersak stuknął się w czolo:

— Aha, byłbym zapomniał. Panie Rógza, w razie czego, to ja pracuję w Centrali Zjednoczenia Skarpetek. Jako urzędnik.

— Ta-ak? — zacząłem sobie przypominać. — Nie zauważyłem.

— No, to, żeby pan zauważył — rzekł pan Jersak i wsunął mi w rękę górala. Następnie dodał, że jutro przyniesie zaświadczenie ze swojej pracy. Dwa tysiące będzie go kosztowało.

Potem zaczęła mnie pani Stopnicka. Też b. dobra. Przyniosła materiał na sukienię dla żony, prosząc tylko, aby jeśli co do czego przyjdzie, poświęcić, że pana Stopnickiego pogotowie zabrało do szpitala. Tyfus płamisty zaraza, do mieszkania wchodzić nie wolno. Lekarz surowo zabronił.

Po niej zgłosił się do mnie pan Samuel, pośrednik na giełdzie, pan Koper, wytwórca bimbru, i pani Tyszkó, żyjąca z własnych funduszy. Wszyscy bardzo dobrzy i w ogóle każdy prezent przyniósł, prosząc jedynie, żeby pamiętać.

— Złote serca — powiedziałem do metalowca Czyżyka. — Nadzwyczajna rzecz, jak mnie lubią.

Nadzwyczajna rzecz? — zaśmiał się złośliwy Czyżyk. — Nie, to Nadzwyczajna Komisja Mieszkaniowa. A lubią pana, bo pan dużo nabijałować może kontrolerom. Nie wszystkim z nich przecież będzie chciało się lazić po całym domu i wszystko dokładnie sprawdzać. Uwierzą w to, co pan powie, i już.

Tak mówi Czyżyk. Ale on tak pewnie z zazdrości. — Ze niema takiego wzięcia u lokatorów, jak ja.

Westchnienie do Stańczyka

Błaźnie! Błaźnie! samotny, zagubiony w tłumie
ilu cię nie docenia, ilu nie rozumie,
ilu głupich pozorny żar błażeński draźni,
ilu nie wie do dzisiaj poco żyją błaźni,
ilu różnych przez nadmiar zbytniej wrażliwości
obraża się na Flaznów i grozi im w złości,
ilu bliźnich błażeństwo pojmuje zbyt późno,
ilu innych błażeństwo chce pojść —
Naprawdę!...

O! Czcigodny Patronie,
jak z tego wynika
ciężki jest los
ciężki jest los
ciężki jest los satyryka.
Ty jeden znasz tragizm
błażeńskiej postaci:
nie opłacało się
i nie opłaci.

Jeśli coś powiesz śmiesznego
to zaraz krzyczą:
że dowcipne, że tego,
że byczo.

Jeśli coś powiesz smutnego
a propos wad,
to uśmiechną się z musu
i w zau.

Trudno! Non omnis moriar!

— Ty o tym wiesz —

Kopniak czasami nie ginie też.

Gdyby się kiedyś satyrycy
zebrali w ciemnej jakiejś ulicy
i bunt zrobili, bunt ogłosili i wyrok wydali na zio,
to by się zaraz c jasnym światem
na całym świecie zrobiło ciszej
i lepiej i ludziom i gwiazdom.
Świat by się zaczął spokojniej kręcić,
bez pogadanek, bez konferencji,
bez żadnej błagi, bez równowagi, bezpiecznym,
sprawdzonym to:em.

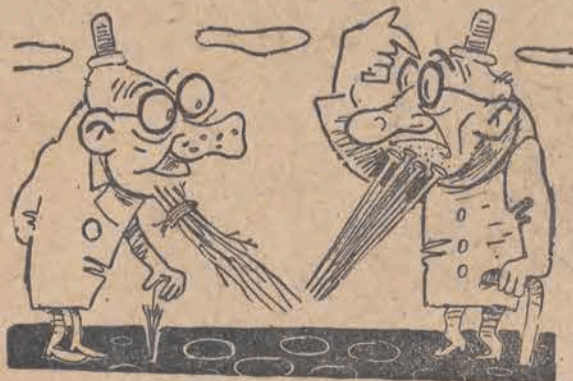
I byłoby tak miło, jak w niebie,
jak w tym pokoju, Błaźnie, u Ciebie,
gdy gadasz z Matejką wieczorem.

A u nas na ziemi jak w kotle,
gotuje się, gotuje,
aż wkońcu z globu będzie kotlet
i wtedy katastrofizm zbankrutuje.

Lecz zanim to wszystko nastąpi,
wierzymy Genialny Błaźnie,
że nasze straszne przekleństwo
wywoła kupę zadrażeń!

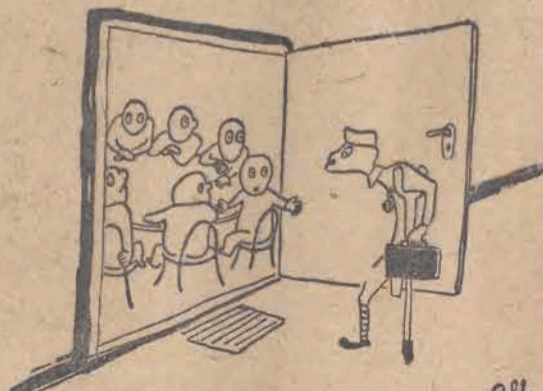
Przekleństwo:

Nigdy śmieszność spokoju nie zazna:
Zawsze znajdzie się Matka dla Syna — Błaźna!..



Rys. Baraniński

„Szpilki” do „Rógze”
— Skąd my się znamy?



Rys. A. Wiśniowski

— Czy tu wolny pokój?
— Omyłka! Tu Konferencja
Pokojowa



Rys. A. Bieńkowski

— Na mocy nowego dekretu
mieszkaniowego otrzyma
obywatel sublokatora

Goering w Norymberdze powiedział swoje ostatnie słowo



Rys. H. Tomaszewski

Słowo honoru — to nie ja!

Irena Tomska

DZIECKIEM W KOLEBCE...

Czasem i pod koniec lata zdarzają się ciepłe dni. W jeden z takich słonecznych ranków na podwórzu dużego domu, zamieszkałego przeważnie przez literatów, wyległa gromadka dzieci. Począwszy od niemowląt w wózkach, poprzez przewalające się na tłustych nóżkach pędraki, aż do starszych, hałaśliwie rozbieganych chłopców i dziewczynek — były tam reprezentowane latorośle wszystkich najpopularniejszych piór w mieście.

Dzieciaki początkowo bawiły się zgodnie, aż nagle coś się popsulo w tej harmonii. W kącie podwórza podniósł się krzyk. To dwóch małych chłopców przyskakowało do siebie z czupurnością młodych kogutów.

— No, i co mi zrobisz?
— Jak zechcę, to zrobię!
— Spróbuj!
— Ty spróbuj!
— O-o, jak się stawia! Ważniak!

— Sam ważniak!
— A żebyś wiedział. Mój tatuś ważniejszy od twojego, bo pisze powieści, a twój tylko wiersze!
— Phi, ale zato mój napisał wiersz o mnie, a o tobie nie ma żadnej powieści.

— A właśnie, że jest. O takim Jurku, co nie lubił myć uszu.
— Ale nie cała powieść, tylko jeden rozdział. A wogóle ty nie jesteś Jurek, tylko Józio, to się nie liczy.

— Coś ty powiedział?! Małpa!
— Sam małpa!
Zwabione sprzeczką, zbliżyły się inne dzieci. Nawet najmłodsza Joanna nadjechała na swym wózku i nastawiła ciekawie uszu. Syn znanego satyryka, Tazio spróbował wystąpić jako rozjemca.

— Chłopcy, nie kłóćcie się! Nie ma o co! Za dużo mamy przecież poważniejszych rzeczy na głowie. Ja na przykład muszę się dobrze namęczyć, żeby dać ojcu temat.

Chciałby sobie człowiek posiedzieć spokojnie z książką, a tu trzeba błaznować i głupstwa gadać, żeby stary miał o czym pisać. Już dziesięć fraszek ze mnie zrobił.

— A ja zarobiłem piętnaście kawałków na humoreskach, które mama o mnie napisała, aha! — wtrąciła mała dziewczynka z różową kokardą.

— A ja jestem świnka! — pochwalili się syn autora rozpraw naukowych.

Dzieci spojrzały na niego ze zdumieniem.

— Jak to świnka?
— A tak! Tatuś robi na mnie doświadczenia pede... pedagogiczne i potem to opisuje w książkach i artykułach. To się nazywa świnka doświadczalna. Byłem już opisany 215 razy.

— Ja muszę czytać wiersze i i mówić tatusiowi czy dobre — westchnęła córeczka krytyka literackiego. A po chwili dodała z dumą — Brzechwa mnie zawdzięcza swoją sławę!

— Ja nie mogę w nocy spać, tylko muszę płakać. Tatuś się złości, a potem pisze o tym i na wódkę, — oznajmiło niemowlę — Andrzej, ale nikt nie rozumiał jego gaworzenia.

Zaś niemowlę — Joanna uśmiechnęła się swym fotogenicznym uśmiechem, znanym ze szpałt najpopularniejszego tygodnika, w którym kilkakrotnie figurowała pod pełnym imieniem i nazwiskiem swoich rodziców.

Tylko mały Władzio, synek dozorczy domu, patrzył na towarzyszy z ponurą miną i rozpaczliwie szukał w myślach czegoś, czym mógłby im zaimponować — on, który nigdy jeszcze nie był przez nikogo opisany. Wreszcie znalazł. Oczy mu rozblęły. Wystąpił naprzód i głośno oznajmił:

— A moja babcia ma hemoroidy!

Horacy Safrin

SAPIENTI SAT...

(Rozważania prostaczka)

Pamiętam w szkole — czas to daleki —
kiedy mnie belfer „wrywał” z greki
i raczka piekłem (kiepski to narówl),
profesor zerkał spod okularów,
poczem z katedry palił jak bat:
— Siadaj, masz dwóję — sapienti sat!

Gdym żonę wybrał spośród dziewczątek,
często w małżeństwie traćłem... wątek.
Aż pewnej nocy, bardzo fatalnej,
stała ubrana w lustrze sypialni
i powiedziała widząc, że żem zbladł:
— Bądź zdrów, odchodzę — sapienti sat!

W biurze się mianem niedojdy szczycę,
i mało znam się na polityce.
Choć wiem, co „nowa” oznacza „era”,
choć czytam „pisma vicepremiera”,
„I.K.P.”, „Dziennik”, „Radio i Świat” —
Wiem że nic nie wiem. Sapienti sat...

Nie wiem, co wiatrak ma do piernika,
dlaczego noty śle Ameryka,
dlaczego Bevin udaje „greka”,
a Konferencja tylko odwleka —
dlaczego Franco nie idzie w ślad
JMCi Humberta... Sapienti sat.

Więc choć się zwykle niemrawo czuje,
Często chcę krzyknąć: — „Siadaj, masz dwóję!” —
politykowi, co wstecz rwie wodze,
by rzekł nareszcie: „Bądź zdrów, odchodzę...” —
bo zapanował spokój i ład
w mózgach prostaczków. Sapienti sat!

Jan Sztudynger

FRASZKI

PYTAŁEM

Pytałem o zalety córki nieboraczki.
„Umieź ona gotować?” Tak, umie piec raczki.

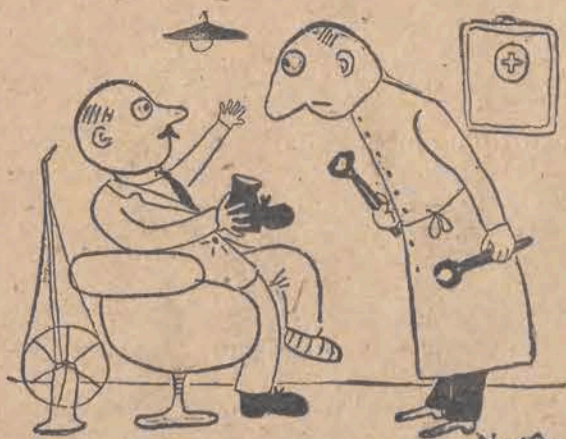
MÓWISZ O PRZODKACH

Mówisz o przodkach. Cóż to, czy przypadkiem,
Wśród samych przodków tyś jedynym zadkiem?



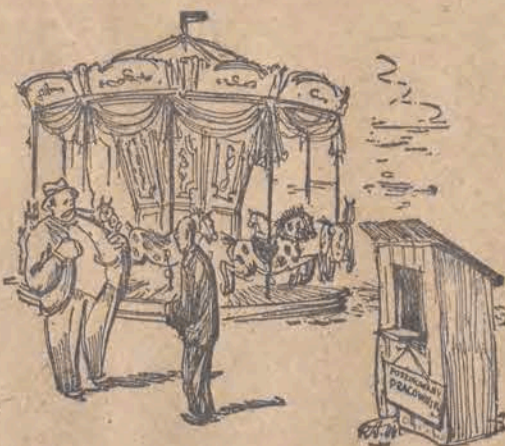
Rys. K. Grus

**Nie strzelać!
Jestem aniołek pokoju.**



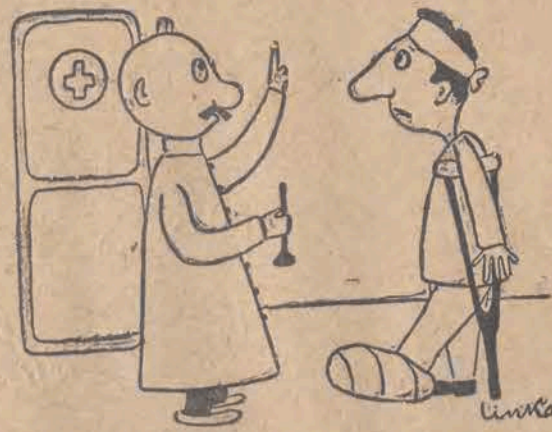
Rys. J. Linka

— Może mi pan przy sposobności wyrwie gwóźdź z buta?



Rys. R. Szalas

— Na koniach się znacie?



Rys. Lenica

— Panie doktorze, spadłem z konia
— Z jakiego? — Z białego.
— O to nic groźnego!

Drobny szczegół pewnej rzeczywistości

Przechodzę ulicą Pierackiego w Warszawie i widzę transparent: „Wielka Brytania odbudowuje się...”

— Ciekawe — myślę sobie — jak się odbudowuje i idę do pałacu Zamajskich. Przed gmachem sznur samochodów, panie jak na bal wystrojone, panno te pod nosem coś mruczą, słowa zrozumieć nie można. Nawet jeden wojskowy był, co nie nosił spodni — jak Boga kocham — tylko spódnicę z frendzelkami. Jakis dziwak!

Wchodzę do przedpokoju, a tam na stole cała tura książek z obrazkami, ale wszystkie po angielsku pisane. Więc obrazki obejrzałem i już chce iść na tę wystawę, aż tu wpada mi w ręce biuletyn, informator po wystawie, po polsku. U góry pisze: „Departament Prasowy Ambasady Brytyjskiej” — znaczy dokument oficjalny.

Czytam tam jak byk: „Wystawa daje ogólne zarysy obecnej sytuacji, jak się ona „zeczywiście przedstawia”.

Myślę sobie: może „zeczywiście” pisze się przez „z”. A dalej stoi napi-

sane, że „ma ona uwydatnić głębsze socjalne niedomagania w postaci dzielnic zaniedbanych (slums), przeludnionych, wadliwie planowanych, względnie chaotycznie i niezdarnie niby wstążkami założonych”.

„Rejon Londynu przedstawiony jest w trzech planach, dotyczących szczegółów”. — Ciekawy „szcze-gół” — ale czytam dalej.

„Rozwój ośrodków życia zbiorowego pozwoli ludności zamieszkać w zwartych w sobie osiedlach, nieznanadto oddzielonych od swoich warsztatów pracy i swobodnym połączeniem z dzielnicą handlową, ośrodkami zdrowia oraz rozrywek. Fatalne warunki dzielnic zaniedbanych odkrywano są z wszelką swobodą. Nowe arterie szybko zastąpiły się z obu stron małymi domkami. Nowe domy tymczasem są dla najbardziej palących potrzeb to jest dla użytku młodych małżeństw z dziećmi”.

Zofia Czerwińska

NA MALKONTENTA.

Nawet w serze, którym się karmisz, człowieku ponury,
Nie dostrzegasz niczego, tylko same dziury.

NA NARCYZA.

Przepraszam cię za dwuwiersz i złośliwy rym.
Zakochałeś się w sobie. Ach, też miałeś w kim!

Marian Piechal

NA JEDNEGO

(naśladowanie z Puszkina)

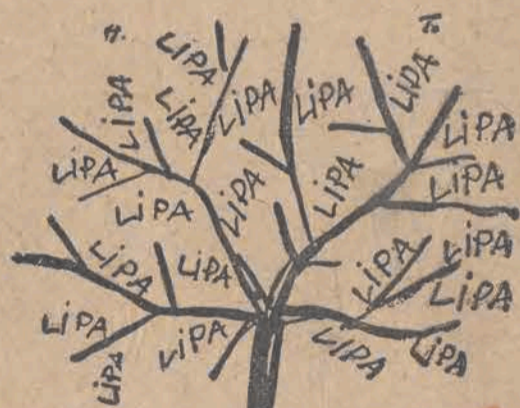
Nie w tym jest sęk, żeś tępogłowy,
żeś podskakiewicz jest i gnida,
nie w tym, żeś bastard jest duchowy
żeś kameleon i hybryda,
nawet nie w tym, że twa krytyka
wątpliwą chwałką mnie zaszczyca,
lecz właśnie w tym, że mnie dotyka
nie orli pazur, lecz racica.

Z tym się zgadzam, tylko dlaczego z dziećmi?

Na końcu pisze, że „w sprawie przekształcenia rejonu River Morsey publiczność została wezwana do przedstawienia sugestii”.

Po tych „sugestiach” odechciało mi się już iść na tę wystawę i poszedłem do domu. Wiem już teraz jak „zeczywiście” Wielka Brytania odbudowuje się w każdym „szczegole”.

Andrzej Wyga



wieczory pod Lipą

Siedzieliśmy rozmarzeni na ławeczce, czekając na powrót pana Wężykowskiego, który z żoną poszedł do kina, gdy oto pan Jakubek spojrzął na lipę i zauważył, że wrzesień jest u nas najpiękniejszym miesiącem w roku. Już chcieliśmy się na to zgodzić, lecz pan Brzózka skrzywił się ironicznie:

— Najpiękniejszy miesiąc w roku? — zapytał. W którym roku? Może w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym?

Oczywiście musieliśmy przyznać panu Brzózce, że wrzesień w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym nie był wcale najpiękniejszym miesiącem, a pan Bieleniak dodał, że i wrzesień następných lat też nie należały do ładnych.

— Tak — przytaknął panu Bieleniakowi pan Brzózka — ale naj-

gorszy jednak był wrzesień 1939. Źródło zła i hańby.

Co do hańby — to zdania były podzielone. Jeden pan Brzózka się upierał przy hańbie, reszta głosów była za sławą. Zwłaszcza pan Jakubek grzmiał oburzony:

— A Westerplatte? A Kutno? A Warszawa? A Modlin?

Na te wszystkie pytania pan Brzózka odparł nieoczekiwanie krótko:

— A Zaleszczyki?

Nie pozostaliśmy dłużni w odpowiedzi, stwierdzając z całą stanowczością, że Zaleszczyki to rząd, a Westerplatte, Kutno, Warszawa i Modlin to Naród. Pan Bieleniak miał, zdaje się, nawet zamiar wystąpić w obronie rządu, lecz nim zaczął, do ogródka wszedł pan Wężykowski, krzycząc:

Zwycięstwo na pustyni! Okrzyk pana Wężykowskiego bardzo nas zdziwił, gdyż nie wiedzieliśmy kto kogo i na jakiej pustyni, ale pan Wężykowski wyjaśnił, że to tytuł filmu o porażce wojsk Rommla w Afryce. Potem dodał:

— Przyjemność popatrzeć, jak wojska sprzymierzone robią porządek ze szkopami! Marsa Matruk, El Alamein, Tobruk...

Nazwę tej ostatniej miejscowości zaraz podchwycił pan Brzózka:

— Tobruk? — powiedział. — A brygada Kopańskiego jest?

Pan Wężykowski zmieszał się bardzo, mówiąc, że na filmie nie ma wzmianki o Kopańskim i jego żołnierzach, ale że to napewno przez przeoczenie. Tłumaczenie pana Wężykowskiego nie znalazło jednak żadnego uznania u pana Brzózki, który momentalnie oświadczył, że takich przeoczeń ze strony Anglii jest trochę więcej. Że nie wspomina się tam nie tylko o Tobruku, ale i o Monte Cassino i o lotnikach polskich w bitwie o Wielką Brytanię.

— Z tym wszystkim — zakończył niespodzianie pan Brzózka — nie znaczy, aby Anglia, nasz wielki sojusznik czasu wojny, o Polsce nie pamiętała.

Zaczęliśmy sobie przypominać i doszliśmy do wniosku, że Anglia rzeczywiście pamięta. Pamiętała naprzykład załatwić szybko proces w Padeborn. Pamiętała, żeby sobie potracić z polskiego depozytu w Londynie długie „zaciągnięte” przez bohaterów z pod Tobruku i Cassino. Pamiętała też, a jakże,

o losie tych bohaterów, kierując ich troskliwie na stępy Patagonii lub inne podobnie przyjemne miejsce.

— Żeby nie zapomnieć — wtrącił nagle pan Jakubek — a ostatnia nota?

— Ano — zauważył dyplomatycznie pan Wężykowski — Anglia musi w tym mieć jakiś interes.

Trudno nam było dojść do porozumienia — jaki. Pan Brzózka stwierdził, że Polska nie Iran, nafty niema, a przeto powód zainteresowania poniekąd niejasny. Na to pan Bieleniak odparł, że nie tylko nafta rządzi Anglią, ale i idee. Tę opinię pana Bieleniaka zaczął wyjaśniać pan Brzózka.

— Idee? — powiedział. — owszem. To jest idea napuścić Arabów na Żydów w Palestynie, muzułmanów na Hindusów w Indiach, monarchistów na demokratów w Grecji, wniecać gdzie się da, ogień i piec na nim swoje kasztany.

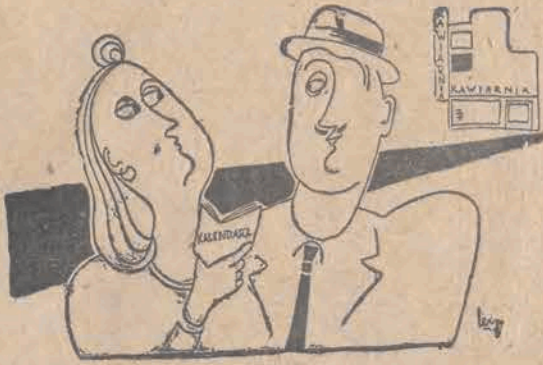
Przyznaliśmy wszyscy, że to taktyka trochę brzydka, tymbar-dziej, jeśli chodzi o nasze sprawy, to przeznaczeniem noty jest napuścić Polaków na Polaków. Pan Wężykowski zdradził tylko niejakie wątpliwości.

— A może — zapytał — Wielkiej Brytanii chodzi o nasze dobro?

Zamiast odpowiedzi pan Brzózka tylko uśmiechnął się smutnie i pokazał na szumiące drzewo:

— Lipa — powiedział krótko, a my wiedzieliśmy już dobrze, o co mu chodzi.

Stefan Stefański



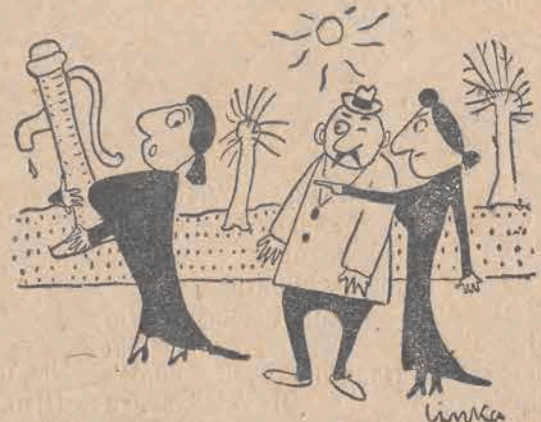
Rys. Kencos

- Ty mnie nie kochasz!
- ?
- Bo prosisz mnie do kawiarni w dni tylko bezciastkowe.



Rys. Baraniecki

Miesiąc czystości w Indiach.



Rys. J. Linka

- Popatrz z jaką pompą idzie ta hrabina.

Andrzej Wyga

Inicjatywa prywatna

Skecz w jednej odsłonie

OSOBY:

Niewierna Żona

Zazdrosny Mąż

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru

Rzecz dzieje się w sypialni małżeńskiej, która różni się tym od innych sypialni małżeńskich, że nie ma w niej męża.

Niewierna Żona: Ah, ah, ah, ty mój skarbie, jedyny, wyśniony! (całuje namiętnie Kochankę Niepozbowionego Poczucia Humoru).

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: Ah, ah, ah, ty mój skarbie wyśniony! (całuje namiętnie Niewierną Żonę).

Słychać gwałtowne stukanie do drzwi. Krzyk: „Otwórzcie!”

Niewierna Żona: O, nieszczęśni, zginajmy, to oni!

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: Co robić, co robić? On jest zazdrosny!

Zazdrosny Mąż: (ryczy przez drzwi): Jestem zazdrosny, nie panuję nad sobą (nie panuję nad sobą).

Niewierna Żona: On jest nieobliczalny, może zrobić nie wiem co.

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: Ja też nie wiem co...

Zazdrosny Mąż: Mogę zrobić nie wiem co, ale wiem co zrobić!

Niewierna Żona: Muszę cię schować, jedyny...

Zazdrosny Mąż: Wiem, co zrobić. Rozwałę drzwi (rozwała drzwi). Nie opira mi się (nie opierają mu się).

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: Prędzej, prędzej, może pod stół?

Niewierna Żona: To już było we wszystkich skeczach. Domyślił się.

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: To może pod łóżko?

Niewierna Żona: Też już było. Zresztą nie dopuszczę do tego, żeby Zazdrosny Mąż wywyższał się ponad ciebie. Wiem już, schowam cię do szafy.

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: A może na balkon?...

Niewierna Żona: Marsz do szafy (wsadza go do szafy. Zatrząskuje. Drzwi ustępują — do pokoju wpada Zazdrosny Mąż): Ha, ha, ha, mam was!

Niewierna Żona: Od kiedy jesteśmy na „wy”?

Zazdrosny Mąż: Nie czas na żarty!

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: Trzęsę się ze strachu (trzęsie się ze strachu).

Zazdrosny Mąż: Słyszę męski głos. Powiedz, gdzie go masz?

Niewierna Żona: Tam, gdzie ciebie!
Zazdrosny Mąż (rozgląda się i wącha): Czuję zapach dobrego tytoniu... (podchodzi do szafy) stąd! (wymuje rewolwer): Ręce do góry, bo strzelam.

Głos z szafy: Podniosiem!

Zazdrosny Mąż: Słowo honoru?

Głos z szafy: Słowo!

Zazdrosny Mąż: (otwiera szafę — Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru w bieliznie trzęsie się ze strachu).

Niewierna Żona: Ja tego sromu nie przeżyję.

Zazdrosny Mąż: (drapie się w głowę): Co ja mam teraz robić?

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: Niech pan się zapyta, co ja tu robię... Może czekam na tramwaj...

Zazdrosny Mąż: To stary kawał (drapie się w głowę).

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: Powiedz pan: „Tu go niema!”

Zazdrosny mąż: Tak się mówi, jeśli kochanek jest atletą, a pan jest chuchro.

Kochanek Niepozbowiony Poczucia Humoru: Mam pomysły. Hip, hip, hurra! Niech pan mnie zabije!

Zazdrosny Mąż: Pomysł jest dobry, ale to nie będzie się nadawało do „Różeg”.

Obaj: Zastanówmy się (zastanawiają się).

Od Redakcji: Zakończenie skeczu pozostawiamy prywatnej inicjatywie naszych Czytelników. Prosimy nie upatrywać w tym żadnego złośliwego kawału, gdyż za najbardziej pomysłowe i dowcipne wprowadzenie z kłopotu Zazdrosnego Męża i Kochanki Niepozbowionego Poczucia Humoru zostanie przyznana w drodze konkursu nagroda pieniężna w kwocie 2000 zł.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 20 września 1946 r.

Po miesiącu pracy konferencja paryska dała w wyniku 2 tomy poprawek do traktatów pokojowych...



Rys. H. Tomaszewski

Dwa — TO MY

NOWINKI

(przepisane z Boy'a)



Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co to będzie, jak i gdzie?

Więc, com to chciała rzec,
Moja pani, moja pani,
Więc, com to chciała rzec,
Żeśmy się powinni strzec.

Źródło ja swoje mam,
Moja pani, moja pani,
Źródło ja swoje mam —
Jakiż to wnet będzie kram!

Wczoraj posłuchał ktoś,
Moja pani, moja pani,
Wczoraj posłuchał ktoś,
Że wnet stanie się to coś.

Co? — Nie pamiętam, lecz,
Moja pani, moja pani,
Co — nie pamiętam — lecz
To okropnie straszna rzecz!

E. Zoszczenko

Rys. Z. Wasilewski

KRYZYS

Widziałem wczoraj, obywatelu, woz cegły wieziono po ulicy. Dalibóg! Z radości, proszę państwa, serce mi wprost zamarło.

Jeżeli tak — to rozbudowa, obywatelu! Cegły po próżnicy nikt nie woz. Napewno gdzieś domek budują. Zaczęło się! A kysz, a kysz, od uroku!

I wody pod dostatkiem. Jak pan zechce, powiada, to można napełnić wannę i nurkować cały dzień.

Odrzekłem:

— Ja — nie ryba, mój drogi. Nie mam potrzeby nurkować cały dzień. Chciałbym, powiadam, na ładzie zamieszkać. Proszę coś nie-



Może za lat dwadzieścia, albo i prędzej, każdy obywatel, patrząc, będzie miał własny pokój. A jeżeli ludność zbyt gwałtownie się powiększy i naprzykład prawnie można będzie pozbawić się dzieci — to nawet i dwa pokoje. A może i trzy na osobę. Nawet z wanną. Wtedy dopiero będzie życie, obywatelu! W jednym pokoju można sypiać, w drugim gości przyjmować, w trzecim jeszcze coś... W tak swobodnym życiu zawsze się coś znajdzie...

No, a tymczasem co do powierzchni kwadratowej — trudno. Wobec kryzysu — skąpo wypada!

Byłem w Moskwie, mieszkałem tam. Nie tak dawno wróciłem. Odczułem na sobie ten kryzys. Otóż przyjechałem do Moskwy. Chodzę z rzeczami po ulicy.

Co robić — niewiadomo. Nie powiem, żeby nie było, gdzie się zatrzymać — ale wszędzie tak ciasno, że niema gdzie rzeczy położyć. — Dwa tygodnie przespacerowałem, proszę państwa, po ulicach z rzeczami — broda mi zarosła i rzeczy się pogubiły. W końcu bez rzeczy lekko było chodzić. Wciąż szukałem pokoju. Nareszcie, na pewnym podwórku zlaź po drabinie jakiś jegomość.

— Za trzydzieści czerwoniaków — powiada — mogę pana urządzić w łazience. Luksusowe powiada, mieszkanie. Trzy pokoje... Wanna... W łazience, powiada,

coś ustąpić za wilgoć.

Odrzekłem:

— Nie mogę, przyjacielu. Chętniebym ustąpił, ale nie mogę. Niezależnie odemnie zależy. Mieszkanie — własność społeczna. Za łazienkę, zresztą, stała cena.

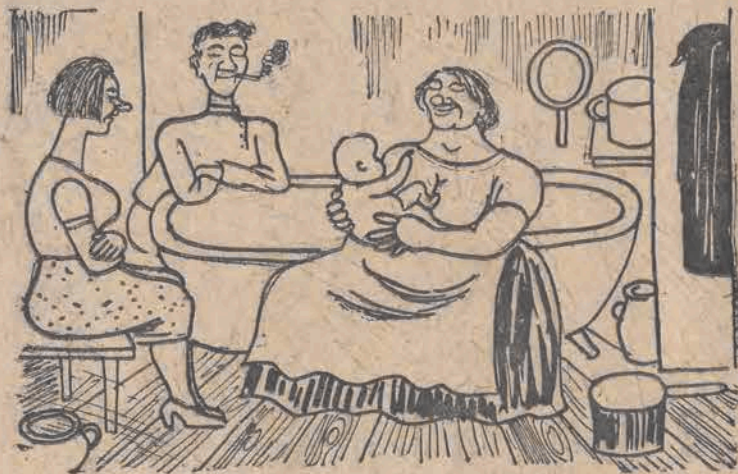
— Ha, trudno — powiadam — coś zrobić. Dobrze, paskujcie. Płacę trzydzieści, ale, powiadam, natychmiast się wprowadzę. Trzy tygodnie, powiadam, chodniki obijam. Mogę się na śmierć zamęczyć.

Zgoda. Wpuścili mnie, odrazu zamieszkałem. A łazienka, rzeczywiście, luksusowa. Gdziekolwiek spojrzysz — tylko marmurowa wanna, piec i krany. A usiąść tymczasem niema gdzie. Chyba na brzegu wanny — ale ślisko, zjedziesz w dół i akurat na same dno. Za trzydzieści czerwoniaków urządziłem pomost z desek i tak żyję. Po miesiącu tymczasem ożeniłem się.

Młodziutka, dobrotliwa, proszę państwa, trafiła mi się małżonka. Bez mieszkania.

Sądziłem, mnie nie zechce, gdy ujrzy łazienkę, że już nie zaznam szczęścia rodzinnego, lecz nic — zechciała. Nie odmówiła, tylko lekko brwi ściąga:

— Góz — mówi — i w łazience mieszkają dobrzy ludzie. W ostateczności, powiada, można przegródkę zrobić. Tu, naprzykład,



można zamieszkać. Okien, co prawda nie ma, ale, mówi, drzwi są.

buduar, a tu — mówi jadalny... A ja na to:

— Przegródkę można, obywatelko, ale lokatorzy, djabli, nie zgodzą się. Stale krzyczą: żadnych przeróbek.

Zgoda. Pozostało bez zmian.

W rok niespełna urodziło się nam małe dziecko, synek. Nazwaliśmy go Władeczkim, a mieszkamy wciąż tamże. Tuż w wannie kąpiemy go i jakoś sobie żyjemy. Nawet, proszę państwa, to się dobrze ułożyło. Bo dziecko ma codziennie kąpiel i nie zaziębi się wcale.

Jedna tylko niewygodność — wieczorami lokatorzy schodzą się kąpać do łazienki. Wówczas cała rodzina wypada przesuwać się na korytarz.

Zwracałem się do lokatorów:

— Obywatelu, mówię, urządźcie kąpiel w sobotę. Nie można przecież codziennie się kąpać. Kiedy mam mieszkać? — powiadam — Zastanówcie się, proszę, zrozumcie moją sytuację!

A lokatorów, łajdaków, trzydziestu dwóch. I wszyscy mi wymyślają. A, w razie czego, gotowi z pięściami do pyska. Cóż robić, trudno, niema rady. Żyjemy tak, jak jest.

Po pewnym czasie do łazienki przybyła mamusia mojej małżonki, z prowincji. Kryje się za piecem.

— Oddawna, powiada, marzyłam, żeby pokoiysać wnuka. Nie możesz mi odmówić, powiada, tej przyjemności.

Odrzekłem:

— Nie odmawiam wam tego. Możecie, staruszeko, koiysać. Pal was licho. Możecie sobie wannę napełnić i nurkować z wnukiem.

Zonię zaś mówię:

— Czy do ciebie, obywatelko, więcej krewnych nie przyjedzie? Mów śmiało, nie męcz mnie.

Ta odpowiada:

— Jeżeli, to chyba braciśzek na ferie świąteczne.

Nie czekając na tego braciśzka, wymeldowałem się z Moskwy. Pieniądze wysyłam rodzinie przez pocztę.



Film Radziecki



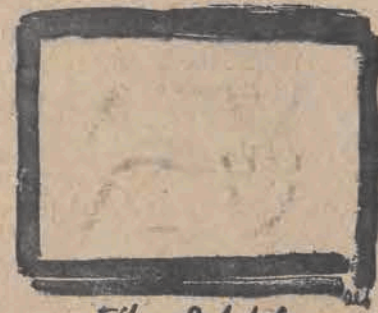
Film Francuski



Film Amerykański



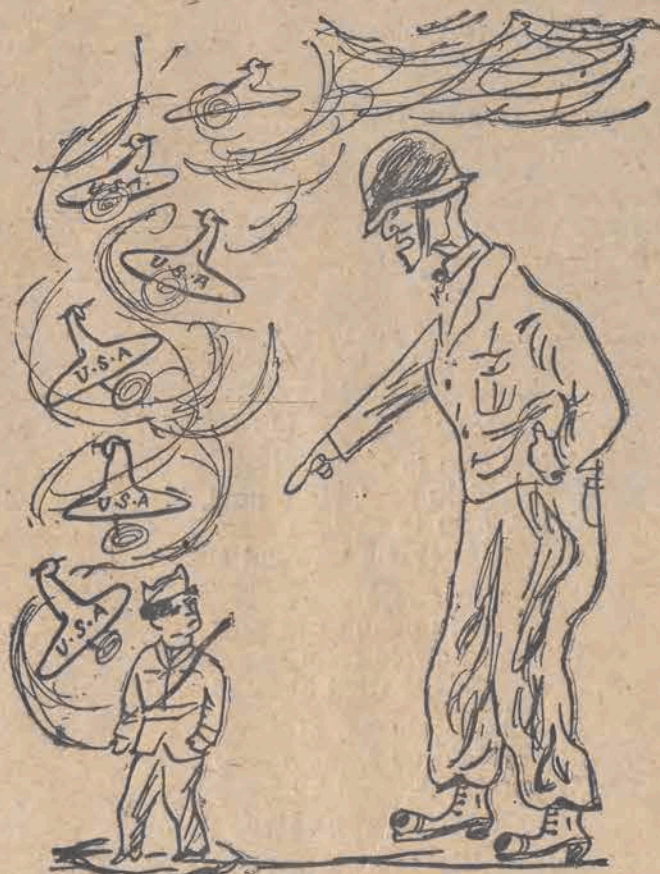
Film Angielski



Film Polski

Rys. A. Wiśniewski

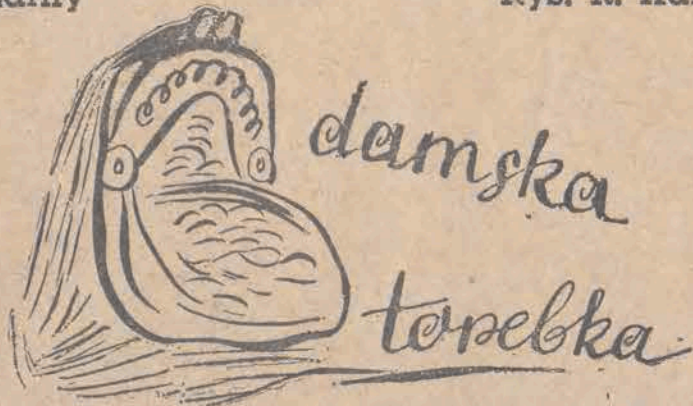
W związku z incydem: USA — Jugosławia



Yankes: — ON MNIE BIJE!..

Jan Czarny

Rys. R. Kańska



Stopka należał do ludzi, których w ogólnie przyjętej nomenklaturze nazywa się pechowcami. Sam, aby się pocieszyć, uważał się za oryginała i właśnie może to jego nastawienie psychiczne wpływało na to, że tylko jemu, a nie komu innemu przytrafiła się rzecz dziwna.

W czasach szkolnych wywoływany był z reguły przez nauczyciela tylko wtedy, kiedy nie umiał lekcji. Później, kiedy zaczął pałać niezuciem pierwszej

— Zresztą — pocieszał się Stopka — to nie sztuka podnieść torebkę. Zrobiłby to każdy dureń na moim miejscu. Sztuka jest właśnie nie podnosić jej. Przypuśćmy, że znajduje się w niej czterdzieści tysięcy złotych, no, powiedzmy dwadzieścia... Kto w dzisiejszych czasach potrafi wyrzec się takiej sumy? — Stopka, tylko Stopka, który ma w kieszeni dwadzieścia złotych i ponemiecką miedzianą papierośnicę.

Tak rozmyślając, szedł na dol, niepewny jeszcze, czy wróci po torebkę, czy też nie. Gdy był na dole, nie miał już żadnych wątpliwości. Wyszedł z bramy krokiem człowieka, który wspamiętało z przemyśleń z ołbrzymiej sumy. Jeszcze po drodze odczuwał coś w rodzaju wyrzutów sumienia na skutek zbrodni popełnionej na sobie samym i musiał się uspokajać myślą, że w torebce równie dobrze mógł się znajdować materiał wybuchowy, a nawet z pewnością byłby tam, gdyby on, Stopka podjął porzuconą torebkę. Postanowił więc nie myśleć więcej o tym fakcie, o którym nie wiedział co myśleć. Przeszedł jeszcze spory kawałek drogi, paląc papierosa i starając się wypuszczanym z ust dymem papierosowym zasłonić natrętą wizję damskiej torebki w mozaikę. Wyobraził sobie jednak siebie wyjmującego z torebki pieniądze i z kolei zaczął obliczać, co mógłby za nie nabyć. Przede wszystkim poszedłby do restauracji i zamówiłby kotlet wieprzowy, duży jak dłoń i zupę... bez wiosa.

Był już na swojej ulicy. Kilka kotów czarnych i kulawych, które, jak mu się wydawało, czekało na niego, przebiegło mu drogę. Wchodząc na schody domu, w którym mieszkał, pomyślał:

— Przyjmując teoretycznie, tych pieniędzy mogło nie być w torebce, ale tak samo dobrze mogły być... A skoro ja nie podniosłem torebki, istnieje na-

wet pewność, że są w niej pieniądze. Tę myśl ośmiła go. Uczepił się jej, jak tonący brzytwy. Miał teraz stuprocentową pewność, że w torebce są pieniądze. Tylko dlatego, że jej nie podniósł. Stopka zawrócił, jak na jego możliwości, z kopyta. Zgrzany stanął na klatce schodowej, na której widział damską torebkę, ale... torebki już nie było.

Stopka stąpił wolno ze schodów z powrotem do domu, wyjął swą ponemiecką miedzianą papierośnicę i zapalił papierosa.

Nazajutrz siedział, jak zwykle, w fabrycznej stołówce i jadł wolno zupę.

Patrz — trącił go kolega w bok — żeby to znaleźć?

Stopka spojrział na gazetę:

DNIA 25. VIII. ZGUBIONO TOREBKĘ DAMSKĄ W MOZAJKĘ, ZAWIERAJĄCĄ BIZUTERIĘ I PIENIĄDZE. ODNIEŚĆ ZA NAGRODĄ 20.000 ZŁOTYCH DO REDAKCJI SUB „SZCZĘŚLIWY”.

Stopka przeczytał milcząco, poczym zanurzył łyżkę w zupie i wyłowił z niej kartofla. Długo trzymał go parującego na łyżce i dopiero, kiedy kolega ponowił szturchnięcie, spostrzegł przyklejony do powierzchni kartofla długi, jedwabisty włos stołówekwej kucharki. Ujął go powalonymi ataman-



Rys. R. Szalas

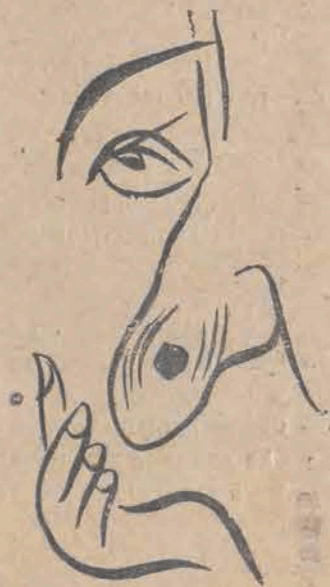
SKOK O TYCZCE

Sędzia: — Poczekajmy, może spadnie.



Rys. M. Kononowicz

— Która godzina, Feluś?
— Czekał, miałem gdzieś zapisać



miłości w okresie wiosennej koniunktury, wyskakiwał mu ni stąd ni zowąd złościwy czyrak na środku nosa, tak że musiał siedzieć w domu i tracił przedmiot swej miłości na rzecz swego rywala.

Stopka nie tańczył, a kiedy raz spróbował, zachęcony półmrokiem są, zapaliło się nagle światło i zastało go bezradnego, popychanego przez partnerkę na środku parkietu.

Stopka mógł iść w każdej chwili o zakład, że jeżeli stołówekwa kucharka uroni swój jedwabisty włos w kocioł z zupą, liczący 250 porcji, to jemu, tylko jemu dostanie się ten włos na talerz.

Stopka stąpił właśnie po schodach, wychodząc od swych znajomych, u których jadł zupę, w której wyjątkowo nie znalazł wiosa. Na drugim piętrze spostrzegł damską torebkę w mozaikowy wzór, stojącą pod ścianą i, nim do niej doszedł, pomyślał sobie, że jej nie podniesie, bo jeżeli przeznaczone jest, że on, Stopka ma podnieść porzuconą czy zgubioną damską torebkę, to napewno przeznaczone jest jed-



nocześnie, że w tej torebce ma nic nie być.



tem palcami, podniósł do góry i epuścił na podłogę. To właśnie mogło się przytrafić tylko i wyłącznie Stopce...

Pani Valegognan uskarżała się na surowość straży celnej. Ktoś jej na to: — Przecież nie chodziło im ani o pani jedwabie, ani o koronki. Ale ktoś by się mógł powstrzymać, widząc pani postawę, od rozebrania jej, wtedy, kiedy/na to pozwala prawo!

Pewnego razu pułkownik Thomson zapytał swego furmana, czy zechce z nim podróżować.

— Za panem wszędzie, panie pułkowniku! — powiedziała sługa.

— Jakiś Nawet do piekieł?

— Nawet do do piekieł.

— Ale pomyśl sobie, że w piekle mocno pali, a ponieważ ty jesteś na koźle, to poczujesz ten żar pierwszy!

— O, nie, panie pułkowniku — zawołał woźnica — ja znam swoją służbę: wysadzę pana pukownika, a sam będę czekał przed bramą.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Vampir (Łódź). Niestety: zbyt dużo na ilość, niewiele — na jakość.

E. Matwiejczuk (Wałbrzych I). Nie. „Nie-czytelnik” (Wadowice). Szkoda pocztówki, pieniędzy na znaczek, atramentu i t. d.

Majakowski Marian (Łódź). Omyłka. Rysunek też trzeba umieć czytać.

Wiśniewski Alfred (Poznań). Niektóre — owszem. Prosimy o dalszą współpracę.

Biernacki Stefan (Warszawa). Dziękujemy za gratulacje.

Brzeska Wanda (Kudowa). Dziękujemy za pozdrowienia. Przyślemy.

Michalska Helena (Łódź). Tak to — my. Ale ten trzeci — to kto inny.

Rajska Stetania (Katowice). Ewentualnie do rubryki „Odkrywamy nowe talenty”.

Dr. Danilewski Roman. Przepraszamy za opóźnienie. Dziękujemy.

Mgr. Stachura Emil (Warszawa). Prosimy o odwiedzinę w lokalu redakcji.

Zając Tadeusz (Skierniewice). Naturalnie.

Z czego się śmiali nasi dziadkowie

(Kuria Świąteczna z 1971 r.)



Pan Kacper przy żonie

Pan Kacper bez żony

Anegdoty

Panie Redaktorze!

Wie Pan, dlaczego moja ciotka jest taka zawzięta na postęp? Bo przed wojną miała fabryczkę, a teraz nie ma, bo fabryczka została unarodowiona. To moja ciotka chodzi teraz po różnych tak zwanych obiektach i obserwuje. Czy taki obiekt, niby fabryczka, Panie Redaktorze, funkcjonuje lepiej pod zarządem państwowym, czy też funkcjonował lepiej, gdy był jeszcze w prywatnych rękach.

Długo tak kręciła się koło obiektów unarodowionych, aż jednego dnia „szczęście” się do niej uśmiechnęło. Wpada do domu i już od proga wrzeszczy:

— Widzisz, szczeniaku jeden, teraz kradną, a dawniej nie.

Tu ciotka moja rozkraczyła się na zydelku i zaczyna opowiadać.

Ja nie będę Panu Redaktorowi wszystkiego powtarzał — dość, że w jednej fabryce nakryto rzeczysie większą aferę, z czego ciotka tak się ucieszyła, że aż mnie sto złotych podarowała — pierwszy raz w życiu.

Jej radość to ja, Panie Redaktorze, rozumiem, ale nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego pracownicy fabryki, która jest własnością ogółu, kradną! Przecież okradają samych siebie! Ja to tak przynajmniej kombinuję. Ale co tam ja — o mnie tu najmniej chodzi, mnie chodzi najwięcej o ciotkę. POCO taka ciotka ma mieć słusność?

— Rozkradną — powiada — państwowe fabryki i ty! — będziecie mieli z unarodowienia.

Ja wiem, że wszystkiego nie rozkradną, ale ciotka i jej podobni mają uciechę.

To ja myślę, że tak dłużej nie może być. Jeżeli już do fabryki się przyjmuje ludzi o słabym — jak to mówią — charakterze (bo przecież trudno z oczu wyczytać czy porządny czy rzezimieszek), to trzeba pilnować, żeby im się nic do palców nie przykleiło.

I nie chodzi tu o zwyczajnego robotnika, którego przy każdym wyjściu z fabryki się obmacuje, ale idzie o tych, których się nie obmacuje, choćby wychodzili sto razy dziennie.

I o samochody, których obmacać się nie da, no bo jak.

Czasami afera się wykryje i wtedy krzyk. Ale ja się chciałem zapytać, czemu władze nie znajdują sposobu, żeby takich afer nie było? Bo to aż wstyd. Daję Panu Redaktorowi słowo, ja się musiałem przed ciotką rumienić — bo lubię postęp, a tu takie kawalki. To niech Pan Redaktor pogada z kim należy, czy się nie da jakoś zaradzić.

Aha — jeszcze jedno: Moja ciotka kazała mi tak delikatnie zapytać, czy to prawda, że wnet będą wywozić „inteligencję” na Sybir. To ja już na własną rękę jej odpowiedziałem, że jeśli chodzi o ciotkę, to niema obawy. Mówię Panu, aż ją zatrzęsło.

Z powrotem
Ignacy Kojalski

Pewien tartownik był wezwany na świadka do trybunału londyńskiego w sprawie wielkiej bijatyki pomiędzy dwoma kupcami. Oskarżyciel publiczny, który miał zwyczaj zadawać świadkom kłopotliwe pytania, zapytał go, na jakiej odległości znajdował się on od miejsca walki.

— W odległości czterech stóp, pięciu cali, sześciu milimetrów — odpowiedział świadek.

— Jakimże sposobem wiesz pan o tym tak ściśle?

— Byłem przekonany — odparł świadek — że jakiś idiota spyta mnie i zmierzylem odległość na miejscu.

Pewien właściciel pytał o drogę do Newgate (więzienie w Londynie). Zapytany odpowiedział:

— Widzisz sklep tego jubilera naprzeciwko? Wejź tam, weź złote kolczyki i zacznij uciekać. Za dwie minuty będziesz w Newgate.

Pewien doktor spacerował kiedyś w ogrodzie pana Hamiltona w Cobham i wyrażał gospodarzowi podziw, że drzewa rosną tak prędko.

— Panie doktorze — powiedział Hamilton — niech pan pomyśli, że one nie mają nic innego do roboty.

Kiedy miano powiesić pewnego Irlandczyka, jeden z jego przyjaciół przechodził przez plac, na którym odbywała się egzekucja:

— Co ja widzę! — zawołał. — To ty! A czyż ci nie mówiłem, że do tego dojdiesz?

— Nie doszedłem do tego, przywieszono mnie! — odpowiedział tamten.

Pułkownik Baden, który był facetem olbrzymiej tuszy, zawołał p. tego razu, wychodząc z opery, na lektkę. Dwóch tegich nosicieli skoczyło na jego rozkazy, ale w chwili, gdy pułkownik starał się już wsiąść do lektki, jeden z jego przyjaciół zaprosił go do powozu. Baden więc dał szylinga trażarzom i chciał udać się za przyjaciół. Ale trażarz go nie odstąpił i, drażąc się w głowę, powiedział:

— Myślałem, milordzie, że będziesz bardziej szczodry!

— Jakiś jeszcze ci mało? Przecież nawet nie wszedłem do waszej lektki!

No tak, ale niech pan weźmie pod uwagę stracha, jakiegośmy mieli!

Pewien człowiek zeznawał w charakterze świadka w sprawie o kłótnię, która wynikła koło Holborn.

— Powiedz nam, przyjacielu, — zapytał sędzia — jak się zaczęła kłótnia?

— Oto tak — odpowiedział świadek — oskarżony powiedział, panie sędzio, „pan jest rogaczem!”

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a sędzia czerwony z gniewu, zawołał:

— Świadek zeznając winien się zwracać do przysięgłych!

Pytano młodego chłopca, jakich czynów bohaterских dokonał na wyprawie w Indiach.

— Ohio, — powiada bywalec — uciąłem głowę pewnemu Hindusowi.

— Trzeba mu było odciąć lepiej głowę.

— Głowę to już miał odciąć.



Rys. Z. Wasilewski

Ach, ach, panie strażaku, jestem nie ubrana, co ludzie o nas powiedzą. Niech pan przynajmniej zgasi to światło!



Rys. Z. Wasilewski

— A klimat u was zdrowy?
— O jeszcze jak. Gdyśmy zakładali cmentarz musieliśmy jednego obywatela specjalnie zabić!